

W rocznicę śmierci

BRONIEWSKI

To się stało tylko rok temu... Z żywego, migotliwego nurtu poezji wymknęło się dzieło zamknięte — pierwszy i ostatni wiersz Broniewskiego, pamiętnik poezji spełnionego życiorysu człowieka.

O poezji Broniewskiego pisano wiele, wiele też czytaliśmy wspomnień związanych z życiem najwybitniejszego z pisarzy lewicy. Przecież przyjaciele poezji i przyjaciele poety tworzyli wizerunki zrodzone z miłości, a więc jednostronne. Płomienny rewolucyjny trybun i bard polskiego proletariatu szedł o lepsze z czułym lirycznym i willo-nowskim Cyganem. Dzisiaj, gdy dośrodek najpopularniejszego z poetów jest zamknięty — warto spojrzeć na poetycki życiorys jako na los Polaka na ścieżkach historii pierwszej połowy XX wieku.

to zdobywanie pozycji pierwszego poety klasy robotniczej, to dojrzenie świadomości i krystalizacja ideologicznego frontu pod wpływem hitlerowskiego zagrożenia. Wiosną 1939 roku powstaje „Bagnet na broń” otwierający antologię poezji walki o wyzwolenie i niepodległość. Broniewski zaczyna drogę żołnierza i tułacza.

Lata tułaczki — wiersze wielu nadziei i wielu nurtów. W antologii poezji wojennej zostaną wiersze syna „podbitego narodu i niepod-

Ostatni w sztuce polskiej Czerwony Szlachcic — pół żartem przyznający się do półkrewieństwa z Marcinem Broniewskim, batorowym posłem do Tatarów — poprzez oddanie nastrojów żołnierzy wojny wyzwolenczej przygotowywał się do powrotu na ziemię Niepodległej i Ludowej. Tu czekał na Broniewskiego okres trzeci, okres poetyckiego szczytu, który przemienił strofy buntu i rewolucji na słowa akceptacji. W kraju czekała na niego ta sama klasa, która jego wiersze uznawała za własne. Broniewski stał się poetą Polskiej Ludowej, poetą narodu i klasy robotniczej. Broniewski brał we władanie nie tylko swoją starą „publiczność”, ale odmienioną tematykę ludowej rewolucji. Zakwitła także najpiękniej muza liryczna, umiłowanie rodzinnego Mazowsza i kochanowska nuta po stracie córki. Broniewski wieńczył swój poetycki dorobek rozkwitem najpełniejszym talentu. Tak wracał do polskiej ziemi, tym razem ostatecznie — trybun i rewolucjonista, liryk i polski Burns — zawadiaka i facecjonista. Łączył w sobie szlachetną maskę ludowego trybuna i żywiołowość Colas Breugnona. W pamięci ludzkiej pozostał pełnym i żywym, jak renesansowy humanista, który sztukę i życie oddał na służbę socjalizmu służącego ludziom.

Dopiero rok minął od śmierci Władysława Broniewskiego. Jego wiersze mają już szlachetny dźwięk poezji wiecznej żywej.

WISŁAW RUSTECKI



Poezja Broniewskiego przynależała także do ideologii, do walki polskiego proletariatu. Jego wiersze brały udział w politycznej walce lewicy, były politycznym argumentem, były pięknem i sztuką, która weszła do ideologicznego ożreza rewolucji. Dlatego pożytność i popularność jego wierszy trzeba mierzyć nie tylko formalną wartością poetyckiego warsztatu i udziałem Broniewskiego w kształtowaniu oblicza współczesnej poezji. Jego sztuka jest niejako wielonurtowa, zawieszona pomiędzy poetyckim Parnasem Skamandrytów i ich mieszczańską publicznością a szorstkimi klasowej walki, nierzadko właśnie poprzez Broniewskiego sięgającymi po kulturalne dziedzictwo Kochanowskiego, Słowackiego i Mickiewicza. Dlatego rola Broniewskiego jest niewymierna, gdyż wielki i komunikatywny był wśród tych, którzy obalają barierę tzw. sztuki uczonej.

Życiorys Broniewskiego jest znamennym przyczynkiem do losów Polaka pomiędzy dwiema światowymi wojnami. Ten kapitan Legionów, odznaczony za waleczność Krzyżem Virtuti Militari — w wojennym okopie zetknął się z książką, która zaważyła na dalszym jego życiu, z tomem Lenina. Dalsze jego losy, to judymowskie rozczarowania do drugiej niepodległości, to niespełniona żeromszczyzna i rozwiane marzenia o szlacheckich domach Rzeczypospolitej. Powstają wiersze pacyfistyczne, antywojenne i prawie w tym samym czasie wspaniały poemat „Komuna Paryska”. Jest to program radykalizacji sumienia, przeprowadzany z sarmackim rozmachem, z zamasytą chandrą, z polskimi nadziejami i złudzeniami. Okres dwudziestolecia,

ległej pieśni”, ale nie tylko. Broniewski przeszedł przez wszystkie doświadczenia żołnierza pobitej armii, uchodźcy i więźnia. Potem kapitan Broniewski dostał „karabin do ręki” i przez Irak i Palestynę — stworzył najpiękniejsze strofy liryki „Dziewo rozpaczające”. Doszedł do rozpaczliwej, chopinowskiej nuty mazurków, do apoteozy mazowieckich wierzb, do Płocka i Wisły. Niewiele jest w poezji polskiej strof tak rozpaczliwie polskich, tak wiernie nakładających się na martyrologię powstań i zrywków. Jest to chyba ostatnia w naszej historii nuta tak romantyczna, pieśń o żołnierzu tułaczku, który przez wszystkie fronty świata wracał do niepodległej Polski. Broniewski wzniósł się na wyżyny sztuki, na jaskółczy parnas żołnierskiego Exodusa.



ZIMA

Vol. Z. POSTĘPSKI

STANISŁAW PIĘTAK



Kształt, blask na piasku rodziców dłoni.
Więc i dziś nie będzie kresu męce.
Przy bramce, którą cień dębu chroni,
staje. Unieść powietrze, nic więcej...

Tu głosy w mgłę niosą się jak chóry.
Mowę ojca znów, śmiech matki słyszę.
Nasz dom. Mech kwitnie, odpiera chmury.
Krzyknę, upadnę w ciszę.

Więc tak już będzie do końca losu,
na oczach trzeba nieść choć grudkę ziemi
tamtej. To ból, nie słowa patosu.
I nic już tego nie odmieni.

ZAMIEC

Snieżny pył jak ręka pożegnania wzbija się w niebo.
Chłopcy biegną po lodzie, siwieje w błękitcie drzewo.
Psościłem i ja kiedyś na wiślanym, cichym brzegu
i miłej szukałem jak zguby wśród zmierzchu i śniegu.
Do dzisiaj czuję we śnie, jak skroś zamieć ktoś mnie bije
i pyta w śmiechu drżącym — powiedz, czyje ręce, czyje...?
Odgaduję twarz, strwożony głos i gorące ciało.
A więc szczęścia było w tamtych latach mało, za mało.

Jegomość raczej starszy. Spodziewa na nim wojskowy i but oficerski, maszynowy, pod kolana. Tylko cyklidówka nie pasuje do tego. Ale i tak wyróżnia się z całego otoczenia. Widać, że ktoś ważny. Jest jeszcze szaro, mroźno aż dech zapiera. Baza jest daleko za miastem. Widat rozrabia. Ludzie — w waciakach i samodzielnymi oprychówkami, uszytymi w sztorc gazetą. Nad bramą, przed którą stoi rząd wywrotek ochlpanych błotem, wapnem i gliną, na pożartę wilgocią tablicy z trudem odczytać można napis „Przedsiębiorstwo robót budowlanych nr 1”.

Do bazy przychodzą tylko ci, którzy na dziś nie mają jeszcze przydziału robót. Majster w cyklidówce klnie jak pozytywna postać z czarnej literatury. Znowu brak ponad setki ludzi.

Głośno jest o stabilizacji. Ale nie u budowlanych. Jak ktoś złapie dobrą robotę w fabryce, to jej pilnuje. U budowlanych statystyki notują największą płynność kadr, największą usprawiedliwioną lub nieusprawiedliwioną absencję.

Budowlanych jest ciągle brak. Więc przedsiębiorstwa biorą każdego, kto się zgłosi. Nikt nikogo nie pyta, co żeś robił, kim żeś był. Zarobić na budowie można, ukrasć można. Ale praca trudna, często niebezpieczna. Na mrozie, wiecznie na wyjazdach. Tułają się po kiepskich hotelach, śpią w barakach, często daleko od ludzkich osiedli, bez możliwości regularnego spożywania ciepłej strawy. Statystyki notują u budowlanych znaczny procent chorób wenerycznych, chorób dróg oddechowych i chorób żołądka. Bo budowlani oszczędzają na jedzeniu. Człowiek stale na wyjeździe, a rodzinie trzeba pieniądze posłać i samemu się utrzymać. Więc pajda chleba, kawał kiełbasy, konserwa i piwo. A jak człowiek na mrozie robi, to i siebie też sobie co jakiś czas „strzeżli”.

Ze starymi — mówi majster — jeszcze pół biedy. Z młodymi kłopot. W barakach mają brudno, prac jak należy nie potrafią, cerować nie potrafią, rządzić zarobkiem też nie. Młode to, za kobie-

tami gania, w barakach kłótnie o sprowadzanie kobiet, a i wezwania sądowe o ustalenie ojcostwa, o alimenty często do kantorki przychodzą. Jak się taki dowie, to zaraz manatki zwija.

Do fabryki przychodzi młody — to ma ZMS, jest partia, są związki zawodowe, sądy robotnicze, a dom pod bokiem i robota raczej na porządnym, nie na pędziwiatrze czeka. Wezmą cię w obroty, a nie postuchasz, wyleją... U budowlanych

trudno dostać pracę, a fabryki podejmują uchwały o przyjmowaniu ludzi tylko z zawodowym i średnim wykształceniem. U budowlanych ciągle jak powiadają „wsio ryba”, byle dwie nogi i dwie ręce...

Brak ciągle także średniego dozoru, bo kto chce się użerać, na draki narażać. Jak tylko chwyci lepszą robotę, to ucieka.

Przeciera się już szarość nieba, kiedy samochody z grupkami robotników odjeżdżają na budowy. Po południu spotkają się w gospodzie. Szczególnie tłoczno jest tu w środę i w sobotę. W sobotę wiadomo — wypłata i niedziela nazajutrz, można poświętować. W środę targ. Można coś sprzedać, coś kupić, a i zadatek od chłopca pobrać za jakieś uzgodnione „fuchy” budowlane na wsi. Gospoda — dwie izby z dużym szynkwasem, który zajmuje ćwierć salki. Biorą litra, a jak kieszeń skurczona, to ze dwie butelki owocowego — „Czar PGR-u”. Trudno się z tego wylamać. Razem się pracuje, razem się żyje, razem się mieszka. Przyszedł przed paroma tygodniami jeden nowy. Poszli do gospody, bo nowy wkupić się musi. Ale tylnik okazał się przebiegłą sztuką. Trochę popił, a dalej — nie. Czego podobnego dawno tu nie było. Więc go kompani trochę zmacali sztachetkami. A potem za nogi go, za ręce rozbijali i za plot rzucili do ogrodu. Tak się tutaj to zalał. Tradycja rzecz święta.

Nowe tradycje rodzą się wolno, z trudem. Brak klimatu. Trwa pogon za siłą roboczą, za planem. Ba, wszyscy wiedzą, że gdyby tak zmienić klimat, zmienić atmosferę, to i z planami, i z jakością by było lepiej, bo dziś nie każdy chce do budowlanych przystać. Tylko, że to wiedzą wszyscy z osobna. Nie skrzyknęli się jeszcze u budowlanych zwolennicy nowego. Nikt nie powiedział: basta!

A czas chyba najwyższy. Powołają o budowlanych — niecywilizowanych! Więc ktoś musi podjąć trud walki, potrzebne są zorganizowane aspiracje zmian. Bo winy szukać należy chyba nie wśród tych, niecywilizowanych.

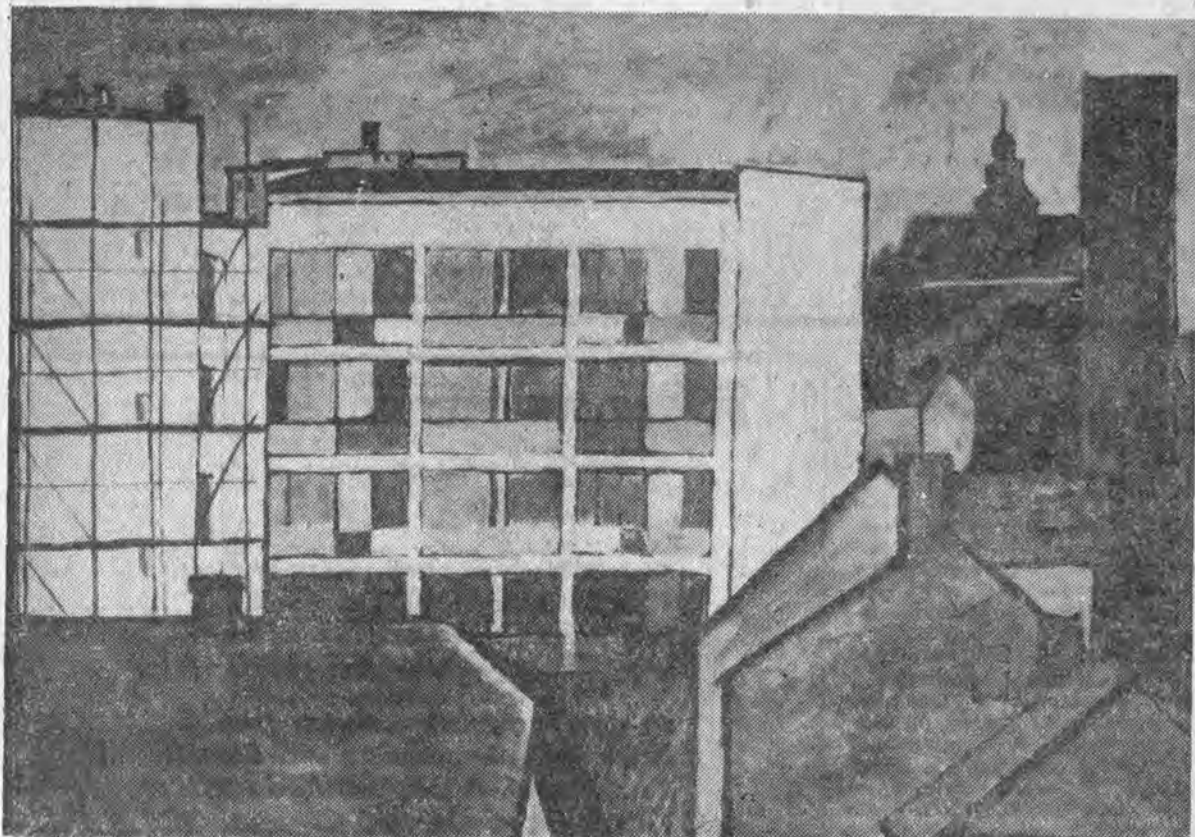
MIECZYSLAW GÓRSKI

NIE CYWILI ZOWANI

nym nby to samo. I partia, i ZMS, i związki, ale tu ludzie robić, rozruceni, odlegli od siebie o kilkanaście, kilkadziesiąt, a czasem to i kilkaset kilometrów. A wyrzucić, to się nie wyrzuci, bo i tak ludzi ciągle mało. Zadania wielkie, a jak ich nie wykonać to premii brak, zarobek niski i wtedy dobrzy też uciekną.

Przydałyby się jakieś szkolenia, jakieś kursy, dowóz gorącego jedzenia, jakieś perspektywy na mieszkanie. Przebakują ludzie o jakiejś pragmatyce służbowej dla budowlanych. Żeby liczyła się wysługa lat w jednym przedsiębiorstwie.

Skarżą się na złą jakość budownictwa. I mają rację. Nikt nie powie nie. Ale robotnik dobrze pracuje, jeśli ma zapewnione minimum dobrych warunków w pracy. I jeszcze jedno. Dziś już powszechnie wiadomo, że dobrze pracować może ten, kto nie tylko umie wykonywać określone czynności, ale także posiada jakąś ogładę, kulturę, jednym słowem, człowiek cywilizowany. W przemyśle bez szkoły podstawowej już



HELENA NIEMCZAK-MAJEWSKA: Nowe bloki (III nagroda).

Fot. AL. HADAŁA

Historia stosunku Watykanu do polskich Ziemi Zachodnich ma już swoją niechlubną dla Rzymu osiemnastoletnią tradycję. Stosunek ten szczególnie jaskrawe odbicie znajdował w oficjalnym roczniku watykańskim „Annuario Pontificio”, z reguły traktowanym powszechnie jako wydawnictwo nie tylko o charakterze religijnym, ale i politycznym. Wszystkie powojenne wydania roczników fałszowały systematycznie przynależność naszych Ziemi Zachodnich, umieszczając je w granicach przedwojennych Niemiec hitlerowskich i utrzymywały tymczasowy status polskiej administracji kościelnej na tych obszarach, rozciągając nad nimi dawne zwierzchnictwo biskupów niemieckich.

Opinia publiczna, w Polsce, zjednoczona w obronie granicy na Odrze i Nysie bez względu na swoje przekonania światopoglądowe, miała ostatnio powody przypuszczać, że w ślad za wieloma mówiącymi słowami o „Ziemiach Zachodnich po wiekach odzyskanych”, jakie padły niedawno przecież w Watykanie, pójdą konkretne kroki, zwłaszcza że nie jest to akt łaski ze strony czynników kościelnych, ale uznanie słusznych praw narodu polskiego. Wydawało się, że po latach nielечения się z rzeczywistością władze kościoła katolickiego doszły wreszcie do przekonania, iż dalsze utrzymywanie nienormalnej w wielu względach sytuacji nie da się pogodzić zarówno ze zdrowym rozsądkiem, jak i z wymogami pokoju w Europie, o którym przecież tak głośno było na soborze.

Okazało się jednak, że jeszcze raz interesy polityczne kanclerza Adenauera przeważały szalę na wadze polityki Watykanu, a jego program polityczny wyrażony m. in. w liście do papieża w związku z soborem wzięty został pod uwagę przez określenie koła Watykanu. Wydany ostatnio, w niedługim przecież czasie po enuncjacji Jana XXIII o sympatii dla Polski, rocznik watykański „Annuario Pontificio” na 1963 r. utrzymuje prawie bez zmian dotychczasowy stosunek kurii rzymskiej do naszych Ziemi Zachodnich. Traktuje je bowiem jako — obszar należący do Niemiec, a diecezję gdańską włącza do tzw. „Freie Stadt Danzig” — Wolnego Miasta Gdańska. Spotykamy tam również dwukrotnie wzmiankę, że prowincja kościelna Wrocław znajduje się w Niemczech, a w spisie fakultetów teologicznych obok słowa „Wrocław” czytamy: „Niemcy”. Polską administrację kościelną na tych terenach rocznik traktuje jako tymczasową działającą na podstawie mandatu kard. Wyszyńskiego, który — jak podkreślono — upoważniony został do roztoczenia opieki duchownej na obszarach archidiecezji wrocławskiej, diecezji warmińskiej i „Wolnej Prałatury Piła”. Cztery biskupi polscy z Wrocławia, Olsztyna, Gorzowa i Opola zaznaczeni są ponownie w nowym roczniku jako biskupi tytularni, a nie jako rezydencjonalni ordynariusze. Faktycznymi rządcami diecezji w myśl rocznika są biskupi niemieccy, jak np. osławiony i znany z antypolskiej działalności biskup Splett (diecezja gdańska), czy bp F. Piontek archidiec. wrocławski. Toleru-

je się również taką anomalią, jak istnienie w NRF tzw. „Kapituły warmińskiej”, mimo że od 1945 r. działa w Olsztynie kapituła warmińska powołana przez polskie władze kościelne.

Należy w związku z tym zwrócić uwagę na charakterystyczne „wyjaśnienie” tych anomalii, zawarte w roczniku. I tym razem, wzorem ubiegłych lat, spotykamy odnośnik podkreślający, że „Stolica Apostolska nie przeprowadza definitywnych zmian granic kościelnych, dopóki kwestia prawa międzynarodowego, które dotyczy tych obszarów, nie zostaną uregulowane przez uznanie powszechnie układy”. Poza oczywistym faktem, że jest to w gruncie rzeczy potwierdzeniem negatywnego stanowiska Bonn w

wymowa tego zaangażowania nie były aktem politycznym.

Na marginesie warto też zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Jak wiadomo, w ostatnich dniach soboru prasa katolicka doniosła, że „biskupi polscy z Ziemi Zachodnich dokonali oficjalnej demarche w Sekretariacie Stanu Stolicy Apostolskiej, domagając się, by w „Annuario Pontificio” był uwzględniony obecny stan faktyczny administracji kościelnej na Ziemiach Zachodnich. Księża biskupi otrzymali zapewnienie, że już w najbliższym roczniku zostaną poczynione odpowiednie zmiany”. Przyjawszy, że interwencja taka miała w rzeczywistości miejsce, należy wyrazić zdziwienie, że obecnie koła kościelne milczą na ten temat. Czyżby interwencja, o której wiadomość przekazana została w sposób oficjalny, dokonana została pro forma? Wymowne jest z drugiej strony postępowanie władz Sekretariatu Stanu. Zapewniając biskupów polskich o poczynieniu zmian w „Annuario Pontificio” musiano zdawać sobie sprawę z fikcyjności zapewnienia, jako że rocznik był już najprawdopodobniej w druku i dokonanie zmian nie było możliwe.

Cała ta historia, tak niezmiernie pouczająca, jest jeszcze jednym przykładem w dotychczasowej tradycji stosunku Watykanu do Polski. Wymowy tego przykładu nie zmieniają także czy inne próby lawirowania i zacierania nieprzychylnych wrażeń, jakie postępowanie to wywołuje w polskiej opinii publicznej. Zmienić to może tylko pełne zadośćuczynienie i uznanie oczywistych praw narodu polskiego do polskich Ziemi Zachodnich, oraz odcięcie się od wyraźnego poparcia rewizjonizmu zachodnioniemieckiego. (PA)

W CZYM INTERESIE?

sprawie uznania granicy na Odrze i Nysie, warto przypomnieć, że zasada ta nie zawsze była przestrzegana w polityce Watykanu.

Nic też dziwnego, że wydanie nowego rocznika i powtórzenie prawie bez zmian stanowiska Watykanu wobec polskich Ziemi Zachodnich (bez zmian, bo podanie imion i nazwisk biskupów w języku polskim a nie — jak dotychczas — we włoskim oraz wyszczególnienie adresów pocztowych w sytuacji, gdy Wrocław określa się jako miasto niemieckie, jest praktycznie bez znaczenia) wywołało natychmiastową reakcję prasy zachodnioniemieckiej. Wiele dzienników już na drugi dzień po ukazaniu się rocznika nie omisszało wyrazić swojego zadowolenia z utrzymania dotychczasowego stanu. I tak np. „Frankfurter Allgemeine Zeitung” z dn. 11. I br. w korespondencji zatytułowanej: „Status zachodnioniemieckich biskupstw nie został naruszony przez żadne zmiany”, zaznaczył, że te nieliczne zmiany nie naruszają dotychczasowego statusu biskupstw „wschodnioniemieckich” i „nie stanowią też wskutek tego bezpośredniego uznania linii Odra — Nysa przez Stolicę Apostolską”. Podobną opinię można spotkać w „Die Welt” z dn. 11. I br. który korespondencję na ten temat zaopatrzył tytułem: „Papieski rocznik zalicza Wrocław do Niemiec”.

Jest również charakterystyczne, że to wyraźne zadowolenie łączy się z antypolskimi akcentami i próbą usprawiedliwienia czynników politycznych Watykanu za tego rodzaju postawę i to nie tylko w prasie zachodnioniemieckiej. I tak opublikowany 11. I br. artykuł w „Salzburger Nachrichten” tłumaczy decyzję Watykanu tym, że „kościół nie może się w swoich decyzjach kierować płynnymi względami bieżącej polityki”, tak, jakby zaangażowanie się po stronie rządu Adenauera i antypolska

CECYLIA BŁOŃSKA

MIASTA W KTÓRYCH ŻYJĄ

Jakiż kontrast między Rzeszowem z poniedziałkowego wieczoru, jeszcze prawie ciemnym z powodu opalowych trudności a hallem Teatru, w którym otwarto właśnie wystawę prac, nadesianych na konkurs pod hasłem „Miasto, w którym żyjemy”. Ze ścian „wygląda” Rzeszów taki, jakim widzą go nasi plastycy. Barwny, kolorowy, miasto nowych dzielnic, miasto zaskakujących kontrastów, Rzeszów najmłodszy. I nawet autobus „Kolo”, tak często na co dzień skłinały, tu w plastycznej wizji — kolorowy, pogodny i... wygodny. Są i dzieciaki na rowerkach, dziewczyneczki z wózkami pełnymi lalek, chłopcy z miniaturowymi koparkami, a dopiero na tle dziecięcej społeczności ukazane osiedle Piastów ze swymi blokami i telewizyjnymi antenami.

Wśród laureatów konkursu, ogłoszonego przez Wydział Kultury Prezydium MRN, Związek Polskich Artystów Plastyków i Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie, nazwiska na ogół znane: Jan Maternicki, Helena Niemczak-Majewska, Adolf Jakubowicz, Bolesław Dusza, Jerzy Majewski, Alfred Kud, Marian Ziemiński.

„Niektóre z tych prac mogłyby się znaleźć w którejś z galerii malarstwa nowoczesnego” — tak określił je adiunkt Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Mikołaj Koczanowski. W mieście, któremu są poświęcone, liczyć mogą na zainteresowanie i ciepłe raczej przyjęcie. Uroki Rzeszowa, jego perspektywy, główne arterie, podmiejskie okolice potraktowane zostały w rozmaitych technikach: w obrazach olejnych, w kolorowych tuszach, rysunkach, temperach, akwarelach czy technice mieszanej. Udało się autorom uchwycić rytm przemian, jakie stały się udziałem Rzeszowa w ostatnich kilkunastu latach, a które nie długo przyjdzie podsumowywać z racji 20-lecia PRL. Artystycznej wrażliwości nie uszły mniej efektowne, a tak znamienne dla krajoobrazu starego Rzeszowa „Pola podfabryczne” czy „Krajobraz z promem”, uchwycone z całą romantyką i pogodą zielonego, letniego dnia.

Na otwarciu wystawy, które zgromadziło zespół miłośników sztuki i... miasta, słychać było wiele rozmów i rozmówek, dowodzących, że autorzy prac nie tylko z okazji konkursu związani są z miastem, w którym żyją. Istotną wydatką ma się np. uwaga laureata III nagrody, A. Jakubowicza, o sposobie plastycznego wyprawienia bloków na osiedlu Piastów: mówił o ostatnim budynku, w którym zmieniono nużącą geometrię kolorowych tynków na bardziej swo-

bodne zestawienie barwnych płaszczyzn, co daje znakomity efekt. Wykładowca Państwowego Liceum Technik Plastycznych w Sędziszowie, Marian Ziemiński, którego „Osiedle Piastów” otrzymało na konkursie wyróżnienie, opowiadał grupie swych znajomych o wykładach na temat współczesnej plastyki, które wygłosił dla młodzieży niedalekiej Diebicy, gdzie dyskusja trwała wiele godzin.

Ekspozowane w Rzeszowie prace uczniów Technikum sędziszowskiego oraz Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu świadczą o tym, iż obie te szkoły, które sporo uzdolnionej młodzieży skierowały do Akademii Sztuk Pięknych, do wyższych szkół szkolnictwa artystycznego, spełniają swoją rolę w ośrodkach, w których działają. Niedawna wystawa „grupy Jarosław”, ekspozowana w tym mieście, również dowodzi, iż tamtejsi plastycy nie oderwani są od aktualnych zagadnień czy po prostu od życia, które ich otacza.

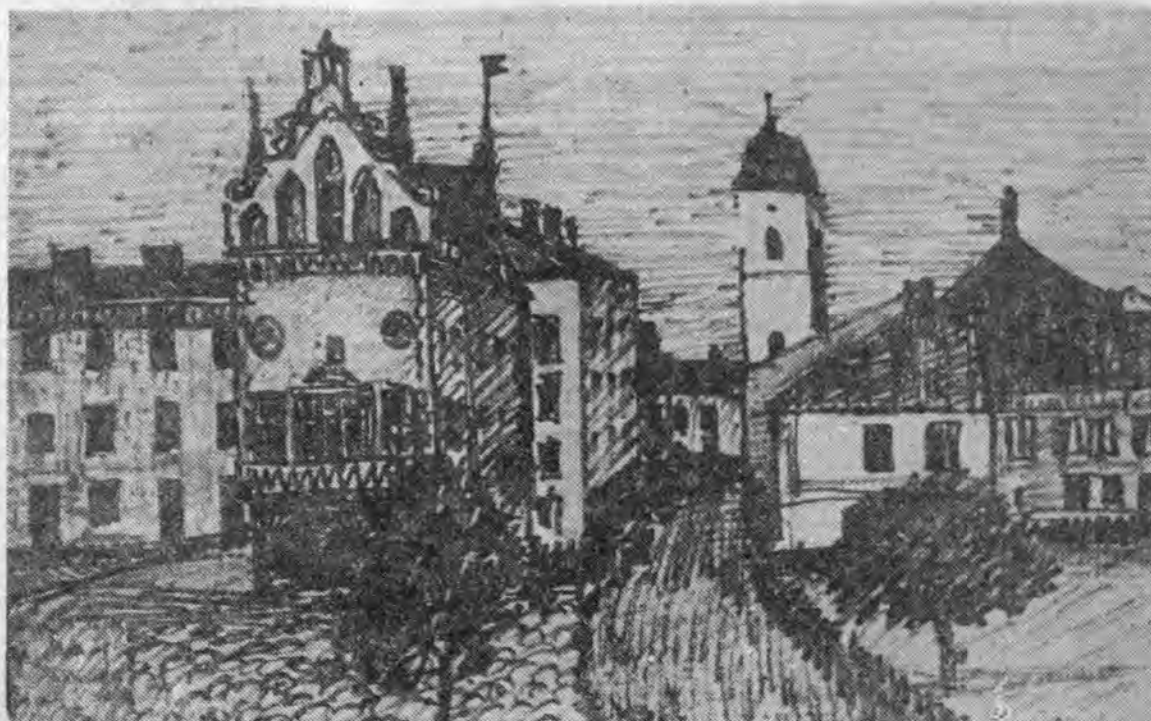
Niewątpliwie rzeszowska wystawa cieszyć się będzie wielką frekwencją. Mam jednakże zastrzeżenia co do sposobu wyekspozowania prac. O ile sam regulamin konkursu wymagał, by prace były całkowicie zaszyfrowane, opatrzone li tylko gołkami, to z chwilą, gdy konkurs został rozstrzygnięty, wszystkie pokazane obecnie obrazy należałoby opatrzyć nazwiskami twórców. Niezależnie bowiem od wyników konkursu stwierdzić można, iż każda praca godna jest autora. Tym bardziej że zdecydowana większość została już przez rozmaite instytucje i zakłady zakupiona (co oby weszło im to w krew nie tylko z racji konkursów).

Tymczasem Wydział Kultury Prezydium MRN ogłosił konkurs na rysunek o Rzeszowie, który posłużyć ma do produkcji artystycznych widokówek.

Ich brak notorycznie spostrzegamy podczas „Dni Rzeszowa” czy innych masowych imprez.

BWA zaś zamierza w najbliższych dniach zorganizować spotkanie kierownictw liceów plastycznych z Sędziszowa i Jarosławia z rzeszowskim społeczeństwem. Sam charakter obu tych szkół, jak i spore zaangażowanie ich kierownictw w to co określić można jako walkę o piękno na co dzień, pozwala się spodziewać, iż ta dyskusja dać może niepomiernie więcej obu rozmawiającym stronom aniżeli pierwsze dyskusyjne spotkanie, poświęcone grupie Szukalskiego.

Niczego bowiem nie narzucając, nie sugerując kierunków, jesteśmy jednak głęboko zainteresowani tym, jak nasze środowisko twórcze, nasi plastycy umacniają swe więzy ze społeczeństwem, jak w twórczość ich znajduje odbicie współczesność. Na ile liczyć na nich mogą „miasta w których żyją”...



JERZY MAJEWSKI: Rzeszów (wyróżnienie).

Fot. AL. HADAŁA

JÓZEF KANIK

„PRZECHOWALNIA” — CZY COŚ WIĘCEJ?

Codziennie rano pędzą ulicą ciągnąc za rączkę malucha, który przeciera piąstką jeszcze zaspane oczy. Jemu na pewno się nie spieszy. Przeciwnie, idzie wolno, ponieważ ciekawi go świat, pełen nowych, nie znanych mu zjawisk.

Cóż, nie on jest winien, że musi przerwać najlepsze godziny snu, zjeść w pośpiechu śniadanie i pędzić potem piechotą do „przechowalni” — przedszkola, bo mama, bo tato muszą być punktualnie w pracy.

W godzinach popołudniowych sennika powtarza się z pewnymi zmianami: mama i tato pędzą z biura, by odebrać malucha, by szybko znaleźć się w domu, by coś zrobić, załatwić dla siebie, dla rodziny.

Czy maluch i teraz skorzysta? Nie odpowiem, bo to zdaje się, różnie bywa. Nie ta część dnia dziecka mnie interesuje w tej chwili. Za to odpowiedzialni są rodzice. Nie zaglądam do ich domu.

Interesuje mnie to, co robi maluch przez kilka godzin pobytu w przedszkolu, czy ci, którzy codziennie go tam oddają, są zadowoleni.

Stoję z boku, trochę z dala, dlatego moje uwagi są niepełne, nie pretenduję do uogólnień; ograniczam się do paru spostrzeżeń i luźnych wniosków. Może słusznych?

Nie robię aluzji do żadnej konkretnej placówki. Nie sprawdzałem planów ani programów przedszkola. Ich realizację można sprawdzić przez postawienie różnym maluchom jednego pytania:

— „Co robiliście dzisiaj?”

Często słyszy się w różnych częściach „wielkiego” Rzeszowa odpowiedź, że „nic” (w zasadzie). Maluchy jadły śniadanie, potem wzięły się po sali (może tzw. „zajęcia własne”), potem był obiad i wreszcie przyszły mamy po swe pociechy. Czasem dzieci idą na spacer. Może jeszcze coś zdarzy się tu, lub ówdzie. Nie chcę przekreślać tego, co dobre. Absolutnie nie. Ale to nie jest zdobywczy wszystkich placówek.

Jeśli zaś są przedszkola nie posiadające nawet takiego dorobku, to stają się tylko „przechowalniami” dzieci-maluchów.

Wystarcza to, dla matki i ojca,

którzy mogą oddać dziecko pod opiekę instytucji, gdy sami pracują. Jest to jednak za mało ze społecznego punktu widzenia i interesów osobistych tychże maluchów.

Dziecko potrzebuje w tym okresie zabawy, rozrywki. Ktoś musi mu jej dostarczyć w dostatecznej ilości, w zorganizowanej formie i pod fachowym kierunkiem.

Znam i rozumiem ogrom przeszkód i trudności kadrowych i lokalowych. Obecne przedszkola są przeladowane. Nowo organizowane już w momencie ich otwarcia są za ciasne. Jedna pracownica ma za dużo dzieci w grupie, aby mogła je opanować, narzucić im coś w tych warunkach.

A jednak... Wydaje mi się, że rozwiązań należy szukać, chociaż nie jest to proste i łatwe. Komuś się to uda.

Psychologia uczy, że dziecko w wieku przedszkolnym najłatwiej wchłania podstawowe wiadomości i umiejętności, jeśli są podawane w odpowiedni sposób, i w określonych ilościach. Np. łatwo uczy się języków, tańczy, maluje, gra itp.

Warto zapytać, czy w rzeszowskich przedszkolach coś takiego się dzieje? Słyszałem, że przed dwoma czy trzema laty któreś z nich prowadziło konwersację (można tak nazwać?) w języku niemieckim. Dlaczego zrezygnowało? Z jakich powodów?

Nie wiem. W niektórych przedszkolach dzieci śpiewają. Dlaczego nie we wszystkich? Przecież znajdują one wiele radości w śpiewie i recytacji.

Wojewódzki i Zakładowy Dom Kultury w Rzeszowie prowadzą zajęcia z rytmiki także dla maluchów. Obejmują jednak tylko niewielką grupę wybrańców z powodu braku dogodnych warunków. A gdyby tak w niektórych przedszkolach spróbować chociażby dla tak modnego „eksperymentu” (jeśli jest tylko odpowiednia salka i instruktor).

Nie chodzi tu o efekt, ale o przeżycie dziecka, o przyzwyczajenie go do poczucia rytmu, piękna, o kształtowanie jego smaku, o potrzeby dobrej zabawy, o rozwinięcie pewnych wrodzonych odruchów, które nie pielęgnowane mogą zaniknąć.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że kolektywne przebywanie daje wiele. Między innymi „wzbogaca” język malucha. Przynosi często takie wyrażenia, że „szy puchną”. Proces ten jest trudny do zahamowania, ale korzystniej byłoby skierować go na inne tory.

Na marginesie tych kilku luźnych uwag chciałbym zwrócić uwagę na pewną sprawę, o której warto już dzisiaj pomyśleć w imię dobra dzieci, leżących jeszcze w kołysce.

Rzeszów np. ma dwie szkoły muzyczne: podstawową i średnią. Buduje piękny gmach dla jednej z nich. Być może, w przyszłości powstanie liceum muzyczne.

A gdyby tak pomyśleć już dzisiaj o przedszkolu (jednym czy dwóch) muzycznym? Na pewno byłoby to piękne rozwiązanie dla muzycznego środowiska rzeszowskiego, dla dalszej popularyzacji muzyki, dla powiększenia grona tych, którzy się coś na muzyce znają.

Nie oznaczałoby to, że „absolwent” takiego przedszkola musiałby pójść do podstawowej szkoły

muzycznej. Absolutnie nie. Mogłoby.

Pomysł nie jest nowy. Mówi się o nim dosyć dawno. Ma wielu zwolenników. Szczegóły należą do specjalistów — muzyków, pedagogów i psychologów, których w Rzeszowie jest coraz więcej.

Podana forma przedszkoli nie wyczerpuje zagadnienia i nie może być stosowana wszędzie. Wiele jest form pracy z maluchami.

Można by trochę pomalować, porysować, dzieci przecież smarują po ścianach, gdzie się da.

Proszę zaobserwować, co robią dzieci, słuchające niedzielnych audycji radiowych. Rysują. Posyłają obrazki i czekają na odpowiedź. Lubią to.

A może by tak częściej przeczytać dzieciom bajeczkę?

A może by tak itd. itd.

Nie moja rzeczą jest wyliczać to, co można by, co trzeba by.

Pewne jest jedno: przedszkola zorganizowano nie tylko po to, by przechowywały...

A propos „przechowalni” (przeprasza za brzydkie słowo) dobrze zorganizowanej, bo są takie. I to w Rzeszowie. Wspomnę o jednej, skromnej, czynnej tylko w godzinach wieczornych po to, aby rodzice mogli się zabawić.

Taką zorganizowało Polskie Radio w Rzeszowie. Dzieci bawią się pod opieką fachowej siły, kiedy rodzice tańczą lub słuchają ciekawej prelekcji.

Czy podobnych „przechowalni” jak w Radio Polskim nie można by zorganizować przy innych instytucjach, zakładach?

Swoich refleksji nie kończę podsumowaniem. Bo i po co? Sądzę (jestem optymistą i dlatego o tym piszę) że będę mógł wkrótce z zadowoleniem spojrzeć na ciągnione za rękę maluchy i pomyśleć: „dzisiaj dziecko zjeść dobrze i smacznie, pobawisz się misiem, lalką, ba, nawet samolotem, poteni! usłyszysz bajeczkę, samo zrecytujesz wierszyk, zaśpiewasz piosenkę, pójdziesz na spacer, narysujesz...”

— „No, co narysujesz, Jasiu?”

— „Nie wiem. Ja proszę Pani, lubię tańczyć”.

— „A ja chciałbym grać na skrzypcach”.

— „A co to są skrzypce?”

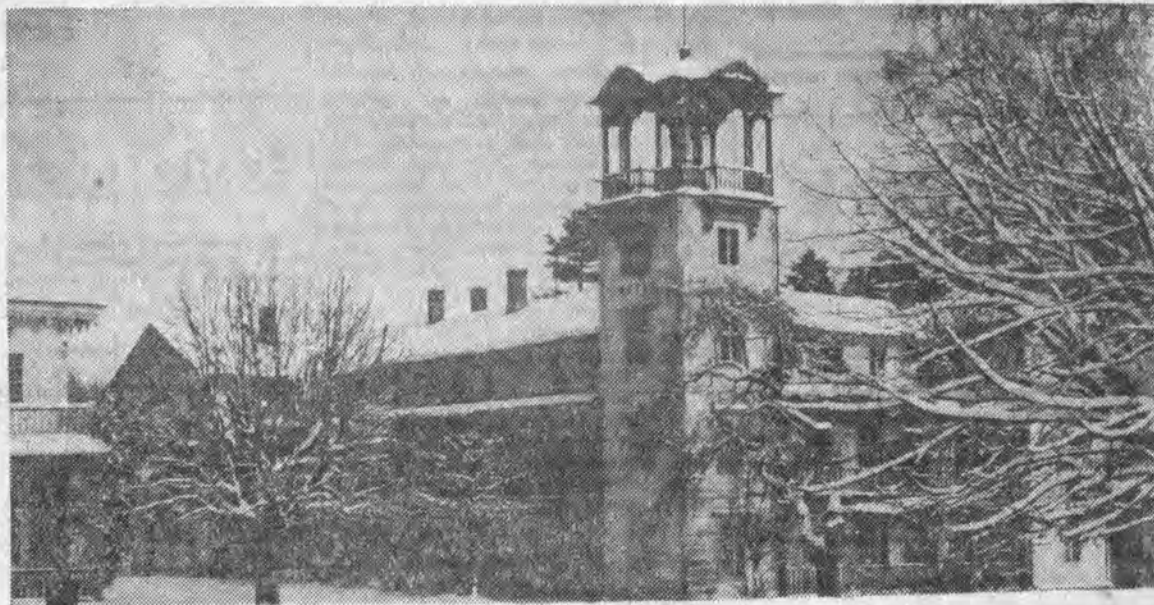
— „Cisza, dzieci! Mamusia czeka już na was”.

Gdy tak stałem na przystanku, zastłuchany w te okrzyki przyszłości, stanął przede mną kolega Pesymista i szepnął: „A ja to między bajki włożę” — i szybko odszedł, ponieważ nie lubił z nikim dyskutować.

Bał się długich dyskusji. Dedykuję dzieciom Jacusia Rzeszowiaka.

JÓZEF KANIK

Od redakcji: Ocena i stanowisko redakcji w sprawie przedszkoli nie we wszystkich pokrywają się z poglądami wyrażonymi przez autora tego artykułu. Zamieszczamy go na zasadzie „wolnej trybuny” sądząc, że zainteresuje ono większe grono naszych czytelników i być może spowoduje wymianę zdań na tak ważny problem jakim jest wychowawcza działalność przedszkoli.



IWONICZ-ZDRÓJ. Dom wypoczynkowy Bazar.

Fot. Z. POSTĘPSKI

Białe kropki zdobiące ściany domu, wianek wiszący nad furtką, makatka lub kobieriec na płocie — znaczący to samo. W takim obojętności można było szukać kandydatki na żonę.

Mineły czasy dziewosłębów, swatów działających dopiero o zmroku — w dzień ktoś nieprzyjazny mógł rzucić — urok. Przychodził taki swat — obrotny, wygadany człowiek — siadał na ławie, zaczynał rozmowę o płonach, pogodzie... Potem stawał na stole flachę gorzałki i czekał. Podadzą kubki czy nie? Podadzą — dobry znak. Nie — nie ze starań. Ręka dziewczyny innemu przyrzeczona. Czarna polewka (czernina), gęś w szarym sosie, arbus — podane na stół, były jednoznaczne w swej wymowie. Podobnie jak wieniec uwiły z grochowiń powieszony nad łóżkiem konkurenta czy wrzucony do wozu, kiedy wyjeżdżał już z oplotków. Odmowie — trzeba przynajmniej nadawać delikatne formy, niemniej jednak zdecydowane.

Nie każdy z konkurentów otrzymywał rekuze. Wtedy następował okres narzeczeństwa. Czas, w którym kandydat na męża dbał o swoją bogdanę, nosił jej prezenty, zapraszał na tańce do karczmy — jeżeli rzecz się działa na wsi, starał się też pozyskać względy teściowej. Ten zwyczaj przetrwał do dnia dzisiejszego. Narzeczeni postępują tak samo. Romantyzm, który zwykle towarzyszy miłości i... konkurentom oparł się zwycięsko czasowi.

Wesele... cały ceremoniał. Wianek mirtowy, zawrozenia druchen, pieśni i przyspiewki, czepiny, pożegnania rodzinnych progów, to wszystko miało swój urok i tonęło we...lżach panny młodej, której „skromna obojętność” nie pozwalała pokazać, że w duszy jest rada zamążpójściu. Owe lzy rzęsiście — cebula najczęściej wyci-

snąć pozwalała! Były to czasy, były...

Ale i dziś młodzi ludzie się żenią. Dość powiedzieć, że tylko w ubiegłym roku w województwie rzeszowskim 12.200 par stanęło na ślubnym kobiercu (kobietce lub mówiąc prościej, dywany — zaścielają z reguły podłogi nawet

A potem co? Co dalej robić z takim pięknym dniem? Krytykujecie — aktualną oprawę wesel wiejskich — spróbujcie sami urządzić inaczej. — Z takim zarzutem spotkałam się ostatnio. Dawnie — kontynuował mój rozmówca — sprawę prosto i łatwo załatwiano. Młoda para, cały orszak weselny

Każdy z gości otrzymuje po trzy przystawki do wyboru, eleganckie drugie danie (drób, stek po angielsku lub coś w tym guście), tort lub krem, czarna kawa, 150 gramów wódki gatunkowej i 1/3 litra wina gronowego, 2 flaszki wody sodowej lub oranżady. Całkiem, całkiem...

mu. Ale pierwsza jaskółka wiosny nie robi. Trzeba przyznać, że w tej dziedzinie jest sporo możliwości, tylko pomyśleć, tylko zwyciężyć konceptem...

Toast weselny — ważna rzecz, bez tego podobno życie nowożeńców nie układa się pomyślnie. O sobości nie wierz — choć toasty wznosze. Ale przyjęcie weselne nie zamyka całokształtu przygotowań i kłopotów związanych z aktem zaślubin. Czytelnicy nasi zwrócili uwagę na inne jeszcze sprawy.

Są miasta, w których zorganizowano specjalne „Domy szczęścia” (dość powszechne w Związku Radzieckim, Czechosłowacji i Niemieckiej Republice Demokratycznej). Można w nich w razie potrzeby wypożyczyć czarny garnitur, a nawet białą strojną sukienkę z welonem, gdzie można uzyskać wszechstronną pomoc w przygotowaniu skromnego przyjęcia na miejscu bądź w domu, wypożyczyć nakrycia stołowe itp. Są takie miasta, gdzie o tym pomyślano. Ostatnio zrobił to Bytom...

Po co wokół tych wszystkich spraw rozzierać szaty? Śluby, wesela — niech się o nie kłopotzą młodzi, ich rodziny. To są sprawy natury czysto prywatnej. Pozornie tak. Tam, gdzie jednak hołdownie zwłaszcza zle pojętym tradycjom — sprowadzającym się do masowego, ponurego opilstwa, obżarstwa ponad normę — przynosi więcej szkody zarówno jednostce, jak i społeczeństwu, trzeba wkroczyć. Ileż to razy wesela wiejskie stawały się miejscem tragedii, bójk krwawych, w których ginęli ludzie...

Kształtowanie nowych nawyków należy także do naszych obowiązków. I od nich uchylać się nie mogą instytucje, które w tej dziedzinie mogą coś zrobić.

Uderzyliśmy w stół, czekamy na... nożyce.

E. JAKUBOWSKA

WESELE SPRAWĄ PRYWATNĄ?

najstronniejszych USC — nie ma w tym zatem żadnej przenośni). Dzień ślubu i wesela to rzadko kiedy kameralna uroczystość, lecz wydarzenie, o którym długo przed tym i długo po tym mówi przynajmniej połowa mieszkańców wioski lub lokatorzy kilku sąsiednich kamienic, jeżeli odbywa się ono w mieście. Wówczas to odzywają saskie tradycje, a ludzie nawet rozsądni hołdują — wbrew woli, pod naciskiem tradycyjnej opinii — zasadzie „zastawia się a postawia”. Wszyscy to dobrze znają! Nikt jednak w naszym województwie nie usiłuje wyjść na spotkanie temu nowemu problemowi.

Wprawdzie wielki krok zrobiono w kierunku podniesienia roli Urzędu Stanu Cywilnego i znaczenia ślubów cywilnych. Przez odpowiednie wyposażenie, ładne meble, fotele, dywany, kwiaty, radia i adaptory, nadano aktywny zaślubin bardzo uroczysty charakter. Urzędnik w ciemnym garniturze lub tożde z insygniami, melodie płynące z odpowiednio dobranych płyt lub radia — pozwalają utrwalić w pamięci moment, kiedy po obustronnym wyrażeniu zgody, o wym sakramentalnym: tak, złożeniu podpisów usłyszało się, że odtąd x i y stanowią parę małżeńską. Ej, ha się w oku kręci!

szedł do karczmy. Karczmarz gości grzecznie obsłużył. Kapela do tańca zagrała, druźbowie co mieli zaśpiewać — zaśpiewali. Bawiono się do rana. Przynajmniej tak głoszą stare opowieści.

Co tu dużo mówić, gdzie tam pod tym względem naszym rzeszowskim geosowskim gospodom do dawnych karczem, w których co prawda gorzałki nie brakowało, ale można się było spotkać z sąsiadem, pogadać. Młodzi mogli się witańczyć — za trojaka kapela grała na zawołanie. Nie te czasy...

W naszych gospodach nic z tych rzeczy. Tylko wódka strumieniem się leje. Można sobie wyobrazić manę kierownika gospody, którą zrobiliby słysząc propozycję urzędnika normalnego, przyzwoitego przyjęcia weselnego. Tego mi tylko do szczęścia brakowało — wykrzyknąłby z ironią. Wesele!... Może jeszcze czyste, białe obrusy i wyfraczony kelner do obsługi! To nie Warszawa!...

Właśnie nie Warszawa, gdzie w „Kongresowej”, „Krokodylu”, „Gastronomii” i innych lokalach za dwa tysiące złotych urządza bankiet weselny dla 16 osób, w osobnym gabinecie, ze specjalnie uroczystą obsługą.

A co za menu! (Podajemy za wszystkimowiadającym „Przekrojem”)

Te same restauracje mogą również w podobnej cenie urządzić — na zamówienie — przyjęcie w domu. Również z obsługą fachową. W takim wypadku doliczane są jedynie koszty transportu.

Szkoda, że Rzeszowskie Zakłady Gastronomiczne nie pomyślały jeszcze o wprowadzeniu na stałe tego typu usług. Nie mają pod ręką wzorcowego zestawu dań, a co ważne, przyzwyczajone skalkulowanego. Cóż można w takiej sytuacji żądać od „biednych” kierowników gospód wiejskich. Sprawa wydaje się prosta, nieskomplikowana. A jednak...

Wojewódzki Ośrodek Gospodarstwa Domowego „Ligi Kobiet” próbował wprowadzić swoich sił w tej dziedzinie. Poszedł w swym nowatorstwie nawet dość daleko, bo nie tylko zaproponowano — pewnej młodej parze — ciekawy zestaw potraw z całkowitym wyeliminowaniem alkoholu, ale potrawy takie przygotowano, i udzielono wszechstronnej pomocy w urządzeniu przyjęcia weselnego. Udanego — tak przynajmniej zgodnie twierdzili goście weselni. Nie koniec na tym. Członkowie Związku Młodzieży Wiejskiej — zorganizowali kilka wesel z zachowaniem starych obrzędów w miejscowych świetlicach. Bawiono się radośnie i naprawdę po nowe-

Rok działalności „Zeszytów Argumentów”

„Zeszyty Argumentów” — teoretyczny dwumiesięcznik, który postawił sobie za zadanie podejmować węzłowe problemy kultury laickiej oraz polemikę ideową i polityczną z klerykalizmem — ma już za sobą rok działalności. Ukazał się właśnie ostatnio nr 5 1962, który zamyka okres prób i poszukowań własnego profilu i własnej specyficznej formy. Czasopismo nie publikowało w zasadzie prac naukowych, lecz raczej publicystykę filozoficzną i naukową, eseje, informacje i polemiki polityczne.

Pięć pierwszych numerów pisma wskazuje, że dopracowało się ono poważnego już dorobku. Pozytywny wkład pisma w dyskusję pomiędzy ideologią katolicką i marksizmem stwierdza wielu recenzentów, publikujących swe uwagi na łamach licznych dzienników, tygodników, a także periodyków kulturalno-społecznych. Recenzenci katolicki zmuszeni byli przyznać, że czołowe publikacje „Zeszytów Argumentów” cechuje erudycja, wnikliwość obserwacji współczesnego świata, zwłaszcza zaś stosunków pomiędzy laicyzmem i katolicyzmem, przy jednoczesnym pogłębieniu argumentów będących orzeźm w walce i dialogu pomiędzy współczesną myślą chrześcijańską i współczesnym marksizmem. Wśród wielu działaczy panuje pogląd, że „Zeszyty” stanowią istotną pomoc w działalności politycznej, głównie szkoleniowej, dostarczając nowego, pogłębionego materiału światopoglądowego.

Uwaga „Zeszytów Argumentów” skupiała się istotnie przede wszystkim

na problemach współczesnego katolicyzmu we wszystkich jego różnorodnych formach manifestacji: od klasycznego integralizmu aż do tzw. lewicy katolickiej włącznie. Obok problemów teoretycznych wiele miejsca i uwagi poświęcono w piśmie sprawom politycznym, związanym głównie z odbywającym się w Watykanie II Soborem Powszechnym.

Liczne informacje wprowadzają czytelnika od strony jak najbardziej rzeczowej w gąszcz problemów współczesnych sporów światopoglądowych oraz w arkana instytucji, które spory te prowadzą lub inspirowują. Problemy ruchu ekumenicznego, sytuacje rosyjskiej cerkwi prawosławnej, Kościół w świecie — oto przykłady takich informacji.

Osobny dział w piśmie to recenzje. Starają się one zaprezentować, a jednocześnie dopomóc czytelnikowi w ocenie krytycznej przemysłowej postawy w stosunku do czołowych, bieżących publikacji z dziedziny filozofii, socjologii, religioznawstwa.

Najnowszy ze znajdujących się w sprzedaży nr 5 „Zeszytów Argumentów” zawiera m. in. artykuł Tadeusza M. Jaroszewskiego pt. „Lewica katolicka”, który jest ostatnim członem cyklu drukowanego w poprzednich numerach „Zeszytów”, Sław Krzemień relacjonuje poglądy Antonio Gramsciego na sprawy kultury, Bronisław Gołębiowski rozpoczął cykl dotyczący przemian kultury wsi polskiej. Stanisław Lubicz pisze w artykule pt. „Pan Bóg z małego miasteczka” o problemach sztuki sakralnej, a zwłaszcza o jej wpływie społecznym. Jeszcze dwie pozycje nr 5 „Zeszytów Argumentów” dotyczą problematyki kultury: Marcina Czerwińskiego pt. „Czy metro-polizacja kultury?” oraz Janusza Kuczyńskiego pt. „U źródeł teorii kultury masowej”. Nie podobna wymienić wszystkich kronik, recenzji i informacji, ale z pewnością warto je wszystkie przeczytać, mają one bowiem charakter publikacji rzetelnie informujących, aktualnych i wszechstronnych.

(pr)

Uśmiech a propos?

A ona się uśmiecha, leciutko, nieznacznie, zagadkowo. Jednak ani spójność, ani zaduma Momy Lizy nie są w stanie zahamować kolowrotka zabiegów, rozpetanego wokół niej na istic amerykańską modłę.

Prawie wszystkie zastrzeżenia zgłaszane we Francji przeciw oceanicznemu wozowowi sławnej mieszczki z Florencji zostały przelamane, głównie za pomocą dolarów.

Trudy podróży? Zaradzi jej specjalna skrzynia z klimatyzacją w luksusowej kabine statku „France”. Lęk przed kradzieżą? Na straży bezpieczeństwa Momy Lizy oprócz automatycznego systemu sygnalizacyjnego czuwać ma sam dyrektor Luwru i kilku detektywów. Od czego zresztą są na tym świecie ubezpieczenia i te horrendalnie wysokie, bo aż na sumę 100 mln dolarów?

Ostatnie zastrzeżenie przeciw podróży Momy Lizy, zgłaszane przez dościgniętych jak zawsze Francuzów, sprowadza się do obawy przed dekonspiracją tajemnicy jej uśmiechu. Psychoanalizy amerykańscy znani są z zamiłowania do dość bezpardonowego tropienia kompleksów i rozświetlania tajników duszy, zwłaszcza możnych pacjentów. Kto wie, może słynny uśmiech Momy Lizy wytłumacza tak dokumentnie, że położą kres od wieków żywemu misterium?

Na razie nielato się do niej dopchać na waszyngtońskim targowisku próżności. Na inauguracyjnym bankiecie, bardzo ekskluzywnym, podawano mięso w „sosie renesansowym”, a na deser „gruszki a la Mona Liza”.

Obraz zawieszono w marmarowym hallu National Gallery, na purpurowym aksamicie udrapowanym na jednej ze ścian. Członkowie rządu, dyplomaci, najbogatsze kobiety świata w pełnej gali toalet i biżuterii — splendor ośniewający i tłok także okazały — zanotowano kilka wypadków zemleń. Od następnego — wielki pokaz amerykańskiej sprawności organizacyjnej — oglądanie Momy Lizy systemem taśmowym — 4 sekundy na osobę, 25 tys. zwiedzających dziennie!

Amerkańskie tempo, naukowa organizacja, wysoka przepustowość — wszystko dla Momy Lizy, królowej sztuki, jak ją tu nazwano. A ona się uśmiecha, leciutko, nieznacznie, zagadkowo. Czyżby kpiąco?

B. Dr.

Kultura w kraju i na świecie

Tragiczna śmierć Andrzeja Munka przerwała jego pracę nad filmem fabularnym „Pasażerka”, poruszającym problem winy zbrodniarzy wojennych. Jak się dowiadujemy, zespół „Kamera”, do którego należał Munk, podejmie prace nad ukończeniem filmu. Zajmie się tym przyjaciel i współpracownik Munka — Witold Lesiewicz (wspólnie zrealizowali oni film dokumentalny „Gwiazdy muszą płonąć”).

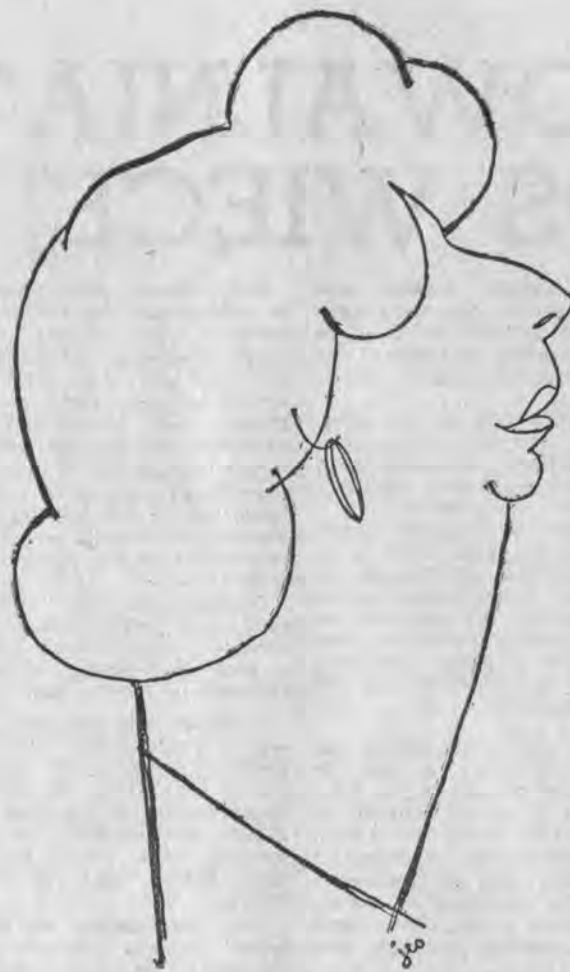
Elżbieta Bergner, sławna aktorka, której nazwisko związane jest z najwyższymi osiągnięciami teatru i filmu niemieckiego lat dwudziestych, otrzymała nagrodę im. Schillera miasta Mannheim. Wyróżnienie to, przyznawane przez miasto co dwa lata, nadane zostało artystce za doskonałą reprezentację psychologicznego teatru i filmu.

Elżbieta Bergner do dziś występuje w filmie i na scenach teatralnych NRF. Ostatnią kreację stworzyła w „Kochanym kłamcy”.

W Muzeum Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu czynna jest wystawa polskiego plakatu. Obejmuje ona 50 prac znanych artystów grafików. Są to plakaty poświęcone sztukom teatralnym, filmowym i koncertom.

Prasa francuska przyjęła wystawę z uznaniem, podkreślając wysoki poziom artystyczny plakatów. Szczególnie zainteresowanie wzbudziły prace: nieżyjącego już artysty Tadeusza Trepkowskiego „Występy TNP w Warszawie”, Jana Lenicy do „Ifigenii” Glucka, Romana Cieślewicza do „Persefony” Strawińskiego.

Pracownicy Państwowego Zbioru Książek i Miedziorytów w Gredz



CECYLIA BŁOŃSKA — dziennikarz.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Książka polska w ZSRR i Czechosłowacji

Wydawnictwa moskiewskie przygotowały w tym roku wiele nowych tłumaczeń z literatury polskiej. Nakłady książek samych tylko pisarzy współczesnych wyniosą z górą pół miliona egzemplarzy.

Wydawnictwo „Inostrannaja Literatura” przygotowuje opowiadania Stanisława Wygodzkiego pt. „Chleb i kwiaty” (nakład 30 tys. egz.), tom wierszy Tadeusza Różewicza pt. „Niepokój” (30 tys. egz.), opowiadania Adolfa Rudnickiego „Czysty prąd”, powieść Igora Nowierlyego „Leśne morze” (150 tys. egz.).

„Gostizdat” wyda „Zbiór polskich bajek ludowych”. Książka otrzymała bardzo staranną oprawę graficzną.

Ukaże się w imponującym nakładzie 100 tys. egz. To samo wydawnictwo oddało do druku tom opowiadań współczesnych pisarzy polskich: Kazimierza Brandysa, Jerzego Andrzejewskiego, Stawomira Mroczka, Stanisława Wygodzkiego i innych.

„Młodzież Gwardia” zamierza wydać w 55 tys. egz. powieść Janusza Iwaszkiewicza pt. „Chopin”.

W styczniu br. 10-lecie swej działalności obchodziło Państwowe Wydawnictwo Literaturne Pięknej i Sztuki w Pradze. W tym okresie wydało ono prawie 2 tys. książek w łącznym nakładzie 20 mln egzemplarzy.

Szczególnie duże zasługi ma to wydawnictwo w zakresie upowszechniania polskiej literatury w przekładzie na język czechski. Jego nakładem ukazały się m. in. „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej, „Żywe i martwe morze” Adolfa Rudnickiego, „Podróż” Stanisława Wygodzkiego, „Weneckie koronki”, „Jaworowy dom” Wilhelma Macha, „Dwadzieścia lat życia” Zbigniewa Uńtowskiego, „Pamiętnik z Celulozy” Igora Nowierlyego, „Popiół i diament” Jerzego Andrzejewskiego oraz „Obywatele” Kazimierza Brandysa.

Nakładem wydawnictwa ukazały się ponadto zbiory poezji Ignacego Krasickiego, Leopolda Staffa, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i Tadeusza Różewicza.

W lutym br. ma się ukazać w nowym przekładzie „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza.

Biblioteki w liczbach...

Oto kilka charakterystycznych liczb, które przytaczamy za opracowanym ostatnio sprawozdaniem Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, przygotowanym dla Głównego Urzędu Statystycznego. Obrazują one dorobek bibliotek powszechnych w naszym województwie w 1962 r. oraz zakres ich działalności, która stanowi przecież w bardzo wielu miejscowościach podstawę wszelkiej pracy kulturalno-oświatowej.

Mamy obecnie w województwie rzeszowskim 565 bibliotek, w tym tylko na wsi — 518 (gromadzkich i wiejskich). W roku ubiegłym przybyło 21 nowych placówek, wszystkie na wsi. Zakończono już w ten sposób całkowicie budowę sieci bibliotek gromadzkich; obecnie pracuje się nad tworzeniem coraz to nowych bibliotek wiejskich, obejmujących zakresem swej pracy tylko jedną wieś, ale znacznie lepiej zorganizowanych i wyposażonych niż tradycyjny punkt biblioteczny. Punktów biblio-

tecznych działa w tej chwili jeszcze 1044 (w tym 981 na wsi), mają jednak stałą tendencję spadkową, w związku z zaznaczonym wyżej procesem przekształcania punktów na samodzielne biblioteki, bardzo często z własnymi nawet czytelnikami.

Liczba książek, które posiadają biblioteki województwa rzeszowskiego przekroczyła w tym roku 2 miliony tomów (dokładnie wynosi — 2.016.399 tomów). Tylko w ubiegłym roku zakupiono 196.690 książek, na które wydano 3.556.225 zł. Największą placówką jest Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie. Ostatnio zakupiona książka otrzymała tu numer inwentarza 104.006.

W owych 565 bibliotekach w województwie wypożycza książki 263.404 czytelników (tylko w ostatnim roku przybyło ich 19.486). Tak się składa, że już od 3 lat przybywa naszym bibliotekom przeciętnie około 20 tys. czytelników rocznie. Naj-

Zdarzenia tygodnia

Z czwartą z kolei premierą wystąpił we wtorek, 12 bm., harcerski zespół estradowy „Skra”, działający przy Zakładowym Domu Kultury WSK w Dębicy. Na program, zatyłowany „Dzień powzedni”, składają się skecze, piosenki, utwory muzyczne, monologi oraz satyryczne „scenki z życia”. Kierownikiem i reżyserem zespołu jest Jerzy Maślanka.

W Rzeszowie eksponowane są obecnie dwie nowe wystawy naszego redakcyjnego kolegi, autora stałego kącika „Karykatura tygodnia” zamieszczonego w „Widnokraju” — artysty plastyka Jerzego Sienkiewicza. Pierwsza z wystaw, na którą składają się rysunki z podróży po Związku Radzieckim czynna jest w salonie Książki i Wiedzy przy ul. 3 Maja, druga zaś wystawa karykatur — w foyer kina „Zorza”.

Do obchodów dziesięciolecia działalności przygotowują się zespoły Międzyszkolnego Ośrodka Prac Pozalekcyjnych w Rzeszowie. Zespoły żywego słowa, taneczny, chóralny i muzyczny MOPP znane są nie tylko w województwie rzeszowskim, ale także w Krakowie, Warszawie, Katowicach, Lublinie i Opolu.

Na Uniwersytecie Ludowym Związku Młodzieży Wiejskiej we Włodowie odbyło się 11 bm. uroczyste rozpoczęcie pierwszego kursu dla kierowników bibliotek gromadzkich.

Kurs ten zapoczątkowuje realizację nowego programu szkoleniowego UL we Włodowie. Uczestniczy w nim około 30 osób z całego województwa. Słuchacze otrzymują nie tylko szeroki zakres wiadomości z zakresu czytelnictwa, bibliotekarstwa, z dziedziną nagadnie społeczno-politycznych, ale także zapoznają się w sposób praktyczny z różnymi nowoczesnymi formami pracy oświatowej.

Materiały z sesji popularnonaukowej poświęconej ruchowi robotniczemu woj. rzeszowskiego

Staraniem Referatu Historii Partii KW PZPR w Rzeszowie ukazało się bardzo potrzebne i interesujące wydawnictwo: „Materiały z sesji popularnonaukowej, poświęconej ruchowi robotniczemu województwa rzeszowskiego — lata 1880—1948”, zawierające wiele nowych przyczynków do historii naszych ziem w ogóle, działalności i walki rewolucyjnej w szczególności.

Liczące ponad 600 stron wydawnictwo składa się z dwóch tomów. Pierwszy z nich obejmuje referaty zajmujące się okresem od roku 1880 do 1944, drugi zaś poświęcony jest rozwojowi województwa od chwili wyzwolenia Rzeszowszczyzny przez Armię Radziecką. Tom II zawiera także wypowiedzi dyskusyjnych, uczestników sesji.

więcej czytelników przybyło w powiatach: sanockim (2095), mieleckim (2051), niżańskim (1611) i brzozowskim (1132). Ludzie korzystający z bibliotek stanowią obecnie 16,1 proc. wszystkich mieszkańców województwa rzeszowskiego (jest to jeden z lepszych wskaźników w kraju).

W 1962 r. zanotowano 4.410.889 wypożyczeń. Podzielenie tej liczby przez liczbę czytelników daje w wyniku około 19 wypożyczeń na 1 czytelnika w roku. Świadczy to, że przeciętny człowiek zapisujący się do biblioteki czyta nie tylko od wielkiego dzwonu.

I jeszcze jedno. Przy bibliotekach działa 187 czytelni, w których można korzystać z książek i czasopism na miejscu, w tym tylko na wsi — 154. W ostatnim roku przybyło ich 77 (na wsi: 69). Na samą prenumeratę czasopism dla czytelni i bibliotek wydano w roku ubiegłym sumę 579 tys. zł.

(gaw)